

# **MANUFATURA CZASU**





Magdalena Starzycka

# MANUFAKTURA CZASU

Wydanie I *Manufaktury czasu* ukazało się nakładem Fundacji ANIMA „Tygiel Kultury” w 2009 roku.

*Redakcja:*  
Krystyna Stolecka

*Projekt okładki:*  
Michał Starzycki

*Przygotowanie okładki do druku:*  
Wojciech Miatkowski

*Skład:*  
Paweł Szewczyk

© Copyright by Magdalena Starzycka

Drogi Czytelniku

Książka, którą trzymasz w dłoni, jest efektem pracy m.in. autora, zespołu redakcyjnego, grafików i wydawcy. Prosimy, abyś uszanował ich pracę.

Nie kopiuj większych fragmentów, nie publikuj ich w internecie. Cytując fragmenty, nie zmieniaj ich treści i podawaj źródło ich pochodzenia.

Dziękujemy.

ISBN 978-83-7729-344-7



KSIĘŻY MŁYN Dom Wydawniczy Michał Koliński  
90-345 Łódź, ul. Księży Młyn 14  
tel./faks 42 632 78 61, 42 630 71 17, 602 34 98 02  
infolinia: 604 600 800 (codziennie 8-22, także sms), gg 414 79 54  
www.km.com.pl; e-mail: [biuro@km.com.pl](mailto:biuro@km.com.pl)



Łódź 2016. Wydanie II

# Spis treści

Manufaktura czasu .....	7
Posłowie .....	281
Z albumu rodzinnego autorki .....	285



„Rzeczy trwają dłużej niż ludzie. Któż wie czy nie spotykają się znowu, czy to już koniec historii?”

*Jorge Luis Borges*

„Czy pan nigdy nie odczuwał podobnej tęsknoty, żeby żyć tu i tam? Wszystko jedno kiedy. Nigdy, chociażby przez chwilę?

O, chwila jest ważna.”

*Wiesław Myśliwski*

W moim mieszkaniu na parapecie okna kuchennego, skąd widok na stare drzewa, stoi, niczym świadek innej rzeczywistości, żelazko z duszą. Jest stare, spracowane, pochodzi z dziewiętnastego wieku. Musi pamiętać halki lniane, falbanki i długie do ziemi spódnice, ale chyba bardziej zużyte przy prasowaniu skomplikowanych konstrukcji gorsetów, wszak należało do gorseciarki. Jedna część uchwytu jest nieporadnie przytwierdzona do korpusu, widać ślady naprawy z zastygłymi jezorami metalu. To jedyna fortuna, którą odziedziczyłam po tej nieznanej mi osobie. Wiem, że jej zakład mieścił się przy Konstantynowskiej, blisko fabryki Poznańskiego.

Wczorajsza popołudniowa ulewa nadała specyficzny charakter atmosferze otwarcia Manufaktury w Łodzi. Jeszcze nie wiadomo dokładnie, czym to miejsce będzie, jak połączy handel z kulturą, ale są wielkie nadzieje na to, że odmieni miasto. Kiedy spóźniona siedziałam wczoraj w taksówce przejeżdżającej się przez zakorkowaną ulicę i strugi wody lejącej się z nieba, przypomniałam sobie, że to tą ulicą, po bruku, przejeżdżał dorożką przed dziewięćdziesięciu ośmiu laty pan Antoni Michalkiewicz. Wracał po kilku dniach z więzienia śledczego i miał nadzieję, że już tu pozostanie. Spotykani po drodze koledzy witali go radosnymi gestami, bo wiedzieli, że wraca „stamtąd”.





Łódź w obrębie fabryki Poznańskiego była budzona przez syrenę fabryczną, potem stukot drewniaków uderzających o bruk. To dziesięć tysięcy par nóg obutych w trepy zbliżało się do paradnej bramy z zegarem. Pierwszy lekki stukot nateżał się, przechodził w drażniący, zrytmizowany, wszechogarniający całą dzielnicę hałas. Ustawał, kiedy wskazówki zegara w bramie fabrycznej pokazywały szóstą. Te poranne odgłosy w mieście były znakiem zwykłości i pospolicości dni, dawały poczucie bezpieczeństwa: świat szedł naprzód, znajdował się w normie. Źle, gdy trepy przestawały stukać o poranku – to oznaczało niepokój: strajk, lokaut. Tak było w czasie rewolucji 1905 roku i potem, kiedy nasiliły się walki pomiędzy narodowcami a socjalistami i padło wielu ludzi, bardzo wielu odniosło rany. Korzystali z zamieszania pospolicu bandyci. Czasy były niespokojne. Nawet stukot trepów wydawał się ponury. Szalał terror. Był rok 1908.

Maria z najmłodszym dzieckiem na ręku (starsze córeczki zostawiła w domu pod opieką panien, które zatrudniała w swojej pracowni gorsetów, wyszła z domu. Mieszkała w oficynie, ale prawie w sercu miasta, przy Konstantynowskiej 15. Teraz po urodzeniu najmłodszego dziecka – Jasia – muszą zamienić mieszkanie na większe. Zawsze, kiedy wychodziła z tego domu, przez chwilę ulegała przyjemnemu złudzeniu, że jest w rodzinnej Warszawie, bowiem w prostokącie bramy ukazywał się stojący po drugiej stronie, pyszny fronton teatru Sellina. Był to budynek tak potężny i bogato zdobiony kolumnadą i rzezbami, że przypominał jej stare pałace warszawskie.

Przyjechała do Łodzi, tego nowobogackiego miasta, za starszą siostrą, która miała tu pracownię gorseciarską przy rogu Konstantynowskiej i Zachodniej. Niestety losy Marii nie ułożyły się pomyślnie. Pierwsze małżeństwo, choć szczęśliwe,

trwało krótko. Mąż uległ wypadkowi w pracy, wydawało się, że niegroźnemu, ale rana nie goiła się, wdała się gangrena i wkrótce zmarł. Odbyło się to tak szybko, że nie zdołała przywyknąć do myśli, że zostanie sama. Przeżyła szok, nie mogła pogodzić się z losem, popadła w dziwny stan odrętwienia, najzwyklejsza czynność wydawała się jej zadaniem ponad siły. Bała się przyszłości. Musiała jednak pracować, zająć się córeczką. Wtedy bardzo pomagała jej siostra, wydawała się osobą o wiele mocniejszą, umiejącą nawet zdominować męża, to ona rządziła w ich związku. Maria tak nie umiała.

Teraz, po latach drugi raz zameżna, ciągle czuła się inna od tamtej beztroskiej siebie, kiedy jeszcze przed pierwszym ślubem przystała na propozycję siostry zrobienia wspólnej fotografii. Andzia, jak w rodzinie nazywano Annę Wawerską, zawołała dorożkę i obie pojechały do zakładu fotograficznego Wilkoszewskiego w pasażu Meyera, w pięknej willi „Trianon”. Miały eleganckie suknie, przyozdobione żywymi kwiatami i jechały Piotrkowską jak jakieś wielkie panie. Dobrze było tak patrzeć z wysoka na tłum, co to było za przeżycie! Czuła się trochę spięta przed nowoczesnym aparatem, chyba to nawet widać na zdjęciu. Jakże to było dawno!

Westchnęła nad swoim obecnym losem przy Feliksie. Życie z nim było trudne, był cholerykiem urządzającym ciągle awantury, skłonny do sprzeczek z byle powodu. Wydawało się jej, że przyczyna tego wcale nie tkwiła w domu i rodzinie, było to coś, co wynosił z fabryki, wynikało być może z trudności w pracy, zmęczenia. Nie wiedziała dokładnie. Szła zamysłona, mały Jasio bawił się wstążką od jej kapelusza, którą wiązała pod brodą, jak dawniej matka w Warszawie. Tak było wygodniej, bo dziecko nie stracało kapelusza. Jednak Feliks, tak niechętny jej pracowni, chyba musiał przyznać rację, że w czasach trudnych, szczególnie kiedy fabryka długo stała, czy to z powodu strajku, czy lokautu, jej zarobki ratowały domowy budżet. Nigdy nie mówiła z nim na ten temat,

nie chciała dotykać delikatnych spraw godzących w jego męską ambicję. A jego ambicja była wielka, o tak!

Żył też jeszcze wczorajszą przygodą. Niespodziewanie do jej pracowni gorseciarskiej wszedł oficer rosyjski, grubawy, ale wyelegantowany w szamerunkach i kapiących złotem epoletach i jak zrozumiała, chciał, aby mu uszyła gorset. Zaniemówiła. Potem jak umiała, słabą, szkolną jeszcze ruszczyzną, przepraszając, wyjaśniła, że nie może przyjąć takiego zlecenia, ponieważ specjalizuje się jedynie w damskich gorsetach. Pan był wściekły i coś tam gadał o polskich buntowszczykach. I wreszcie poszedł sobie. Dziewczyny tak się przestraszyły, że szyc przestały i nie mogły się długo skupić na robocie, tylko gadały o tym, co może się ich pani dobrodziejce przydarzyć. Nic dziwnego, tyle teraz zamieszania i aresztowań. Pan oficer carski, jak teraz wspominała to wydarzenie, mógł być mocno podchmielony, bo przecież jego uwaga o buntowszczykach była zupełnie bez sensu. Idąc tak i myśląc, wyszła z tunelu bramy, spojrzała bezwiednie w prawo i zamarła. W oddali za murem więziennym widoczna była wysoka szubienica z dwoma wiszącymi skazańcami.

– Barbarzyńcy – wyszeptała i zaraz powtórzyła to głośno po powitaniu przechodzącej Julii Zbijewskiej. Zatrzymały się na chwilę. Obie były bardzo poruszone.

– Tak, to barbarzyństwo – przytaknęła Julia, jakby bardziej niż zwykle, blada. – Wie pani, chciałabym... Chciałabym pomówić z paniami. Proszę panią i siostrę, aby panie weszły do mnie w niedzielę po południu. Trzeba zastanowić się, jak pomóc tym nieszczęśliwym dzieciom.

– Rozejrzała się dokoła i dodała ściszym głosem: – były aresztowania, a zatrzymani tracą pracę. I niech pani powie! Jak z takim widokiem za oknem uczyć dzieci, jak im wytłumaczyć...

Julię Zbijewską niezwykle szanowano w tej dzielnicy. Była właścicielką pensji. Szkoła mieściła się przy ulicy Długiej 10, w typowym domu tkaczy – drewniaku z facjatką nad piętrem – pochodzącym z czasów, gdy Ogrodowa rzeczywiście biegła wzdłuż ogrodów. Stał blisko rogu Konstąntynowskiej tak, że z okien pensji widoczne były mury więzienia i szubienica. W czasach, gdy jej używano, stanowiła krzyczącą w milczeniu lekcję patriotyzmu dla uczennic. Pensja z jej właścicielką stały się centrum kultury i edukacji patriotycznej w dzielnicy.

Julia Zbijewska była postacią niezwykłą, przyjechała ze specjalnym przesłaniem, znanym jedynie jej. Pochodzenie, krzywdy doznane w najwcześniejszym dzieciństwie przyczyniły się do wybrania przez nią postawy tajnego mściciela. Była małym dzieckiem, nieświadomym niczego, kiedy po upadku powstania styczniowego jej rodzice zostali skazani na zesłanie na Sybir. Zrozpaczeni zostawili u rodziny maleńką córeczkę z resztkami kosztowności, które miały w przyszłości zapewnić jej posag. Majątek ziemski, jak zwykle w takich okolicznościach, uległ przypadkowi. Mała Julia wychowywana była przez ciotkę, wiedziała, dlaczego i kto jest sprawcą jej sieroctwa (rodzice wkrótce na Syberii pomarli).

Uczyła się dobrze. Bardzo dobrze uczyła się języka rosyjskiego, starała się wszystko robić jak najlepiej, żeby kiedyś kontynuować pracę rodziców i żeby ich pomścić. Jak może pomścić rodziców kobieta zamknięta w ciasnym gorsecie norm moralnych i obyczajowych? Zemsta musiała być odległa, ale pewna. Młoda Julia Zbijewska pokonuje kolejne przeszkody: zdobywa wykształcenie, praktykę pedagogiczną i – co wymaga jeszcze więcej wytrwałości – pokonuje biurokrację carską. Czaruje urzędników swoją nienaganną ruszczyzną i w ten sposób usypia ich czujność. Staje się wreszcie w 1901 roku właścicielką szkoły żeńskiej, najpierw z klasami wstępnymi, a potem pełnej, siedmioletniej szkoły.